

Skolonizowana polszczyzna [FELIETON]

Upadek komunizmu bynajmniej nie anulował procesu kolonizacji. Poza orwellizacją języka, boleśnie widoczna jest jego wulgaryzacja – pisze Ewa Thompson specjalnie dla Teologii Politycznej w felietonie z cyklu „Widziane z Houston”.

Pochodzący z Indii anglista Homi Bhabha był pierwszym naukowcem, który przeanalizował wpływ kolonializmu na język skolonizowanego narodu. Uważał on, że „przykładanie pisarskiej pieczętki” do wydarzeń jest strategią kolonialnego zniewolenia („Location of Culture”, s. 94). Kolonialny władca narzuca skolonizowanym słownictwo i interpretacje, którymi mają się oni posługiwać, i w ramach których mają też myśleć. Proces ten jest wprawiany w ruch głównie przez media. Z kolei odpowiedzią kolonizowanych jest hybrydowość i mimikra: przejmowanie niektórych cech kolonizatorów, a czasem ich sarkastyczne małpowanie.

Tyle Bhabha. Trochę inaczej to wygląda w Europie Środkowej, bo tu brak pozytywnych wzorców do naśladowania (w przeciwieństwie do kolonii brytyjskich, w których zapożyczono od Brytyjczyków m.in. słownictwo oraz praktykę demokratycznej struktury państwa) sprawił, że kolonializm przyniósł jedynie skarlenie i zanieczyszczenie języka. W Europie Środkowej hybrydowość to nie absorbcja użytecznych cech kolonizatora, lecz wulgaryzacja lub orwellizacja języka.

*„Sowiety” kojarzyły się ze
znenawidzonym przez
większość Polaków
komunizmem, Gułagiem i
okupacją. Więc w interesie
„pociągających za sznurki” w
powojennej Polsce leżało
usunięcie tego słowa z obiegu*

Miniaturką tego procesu są losy słowa „sowiecki” i jego pochodnych w polszczyźnie. Przed czwartym rozbiorem Polski w 1939 roku „sowiecki”, „Związek Sowiecki” i „Sowiety” desygnowały to, co dziś Polacy określają słowami „radziecki” i

„ZSRR”. Dlaczego ta pierwsza rodzina słów nieomal znikła z języka polskiego, a druga się w nim pojawiła? Z pewnością nie był to proces spontaniczny. „Sowiety” kojarzyły się ze znenawidzonym przez większość Polaków komunizmem, Gułagiem i okupacją. Więc w interesie „pociągających za sznurki” w powojennej Polsce leżało usunięcie tego słowa z obiegu. W latach 40. i 50. XX wieku gazety i podręczniki szkolne masowo wprowadzały słowo „radziecki”. Wątpiącym podawano do wierzenia, że „radziecki” to starodawny polski przymiotnik, „dotyczący rady miejskiej” („Mały słownik języka polskiego”, 1968, s. 685).

Na emigracji „niezłomni” nadal używali słowa „sowiecki”, ale powoli narzucone przez kolonizatorów słowo zaczęło się i tam przyjmować. Jerzy Giedroyc pozostawił wolną rękę autorom, publikującym w „Kulturze”. We współczesnych polskich mediach „radziecki” przeważa. W ten sposób osłabiła się świadomość, że „Sowiety” to państwo zbrodnicze i wrogie polskim interesom. Pojawił się dobroduszny

„Związek Radziecki”, rodzaj starszego braciszka wyciągającego pomocną dłoń do mniej rozwiniętych państw we Wschodniej Europie. Orwell w czystej postaci.

Upadek komunizmu bynajmniej nie anulował procesu kolonizacji. Wprawione w ruch koło obraca się pozornie samodzielnie przez długi czas. Poza orwellizacją języka, boleśnie widoczna jest jego wulgaryzacja. Jedną z przyczyn, dla których nie czytam regularnie „Gazety Wyborczej”, jest nieznośna pogarda dla czytelnika w jej artykułach, przejawiająca się w słownictwie spod kiosku z piwem, typowym dla mediów promujących zaniżenie samooceny czytającego, „GW” promuje wśród Polaków głębokie poczucie niższości. Gombrowicz nazywał to upupieniem.

Wprowadzanie wulgaryzmów do tekstów, które pretendują do „wyznaczania drogi”, jest jednym ze sposobów utrzymywania skolonizowanego narodu na poziomie sugerującym jego niższość w stosunku do bardziej cywilizowanych politycznie środowisk

15 maja 2008, strona tytułowa gazety: „PO chce wykurzyć PiS”. Wyrażenie, sugerujące prymitywizm polskiej polityki, pogardę autorów dla tejże, oraz niczym nie usprawiedliwioną poufałość wobec czytelnika. Chciałoby się powiedzieć,

„Trzody chlewnej z Panem nie pasalam, prosiłabym więc o bardziej neutralny czasownik”. 18 października 2019 w tejże gazecie: „Odwalcie

się od Schetyny”. Ditto. Lub cytacik z „Wysokich Obcasów”. *Pierwszy raz* nastolatków: „Myślałem, że schrzaniłem, skoro doszedłem trzy razy, a ona wcale”. Wprowadzanie wulgaryzmów do tekstów, które pretendują do „wyznaczania drogi”, jest jednym ze sposobów utrzymywania skolonizowanego narodu na poziomie sugerującym jego niższość w stosunku do bardziej cywilizowanych politycznie środowisk. „Gazeta” w ten sposób mówi do czytelnika: „Jesteś chamem i prostakiem, i nim pozostaniesz. Nie dla ciebie wyrafinowane ważenie słów w „New York Timesie”. Jesteś człowiekiem, który nie ma większych marzeń niż wycieczka na wyspy jakieś tam, ot takim typowym Polaczkiem, który durniem pozostanie na zawsze i którego my tu staramy się trochę w chomąto politycznej poprawności wprowadzić”.

W krajach, które nie doświadczyły presji kolonizatorskich, osoby biorące udział w życiu publicznym nie używają wulgarnego słownictwa nie dlatego, że w ich szkołach i domach takie słowa nie padały, ale dlatego, że szacunek dla zajmowanego urzędu i do suwerennego państwa, które reprezentują, nie pozwala im na zaniżanie się do poziomu awaryjnej Czajki. Zaś w krajach, rządzonych przez obce i wrogie rządy od stuleci (z krótkimi wyjątkami), brak treningu w budowaniu politycznej godności osobistej pozwala na wszystko. Bowiem schamienie to forma skolonizowania. Człowiek skolonizowany nie ma wewnętrznych oporów przeciw używaniu pewnego rodzaju słów, bo „z kiosku z piwem wyszedł i do takiegoż powróci”. Kolonializm podsyca ludzką niedojrzałość. Rządzącym o to właśnie chodziło, aby społeczeństwa ujarzmionego nie dopuścić do dojrzałości, do „wyciśnięcia z siebie prostaka kropla po kropli”, jak to ujął Anton Czechow.

Civis Romanus sum (jestem obywatelem rzymskim), powiedział dumnie Cynceron na początku swojej kariery oratorskiej. Powtórzył to John F. Kennedy, zanim wygłosił swoje sławne „Ich bin ein Berliner” w 1963 roku. Skolonizowany język nie zna takiej dumy. Została mu odebrana powaga. Tak jak ryba, polszczyzna psuje się od głowy, tzn. od zdań wygłaszanych przez celebrytów, od słów opowiadających historię i sankcjonowanych przez naukowców, od rozmów najwyższych urzędników państwowych w „Sowie i Przyjaciołach”. Pisząc o mimikrze i hybrydowości, Homi Bhabha podkreślał możliwość przebicia się na terytorium językowej wolności. Trudniej by mu było poradzić sobie z problemami, które się pojawiają, gdy język kraju kolonizowanego jest wprowadzany do rynsztoka.

Ewa Thompson
Rice University

Przeczytaj inne felietony Ewy Thompson z cyklu „Widziane z Houston”